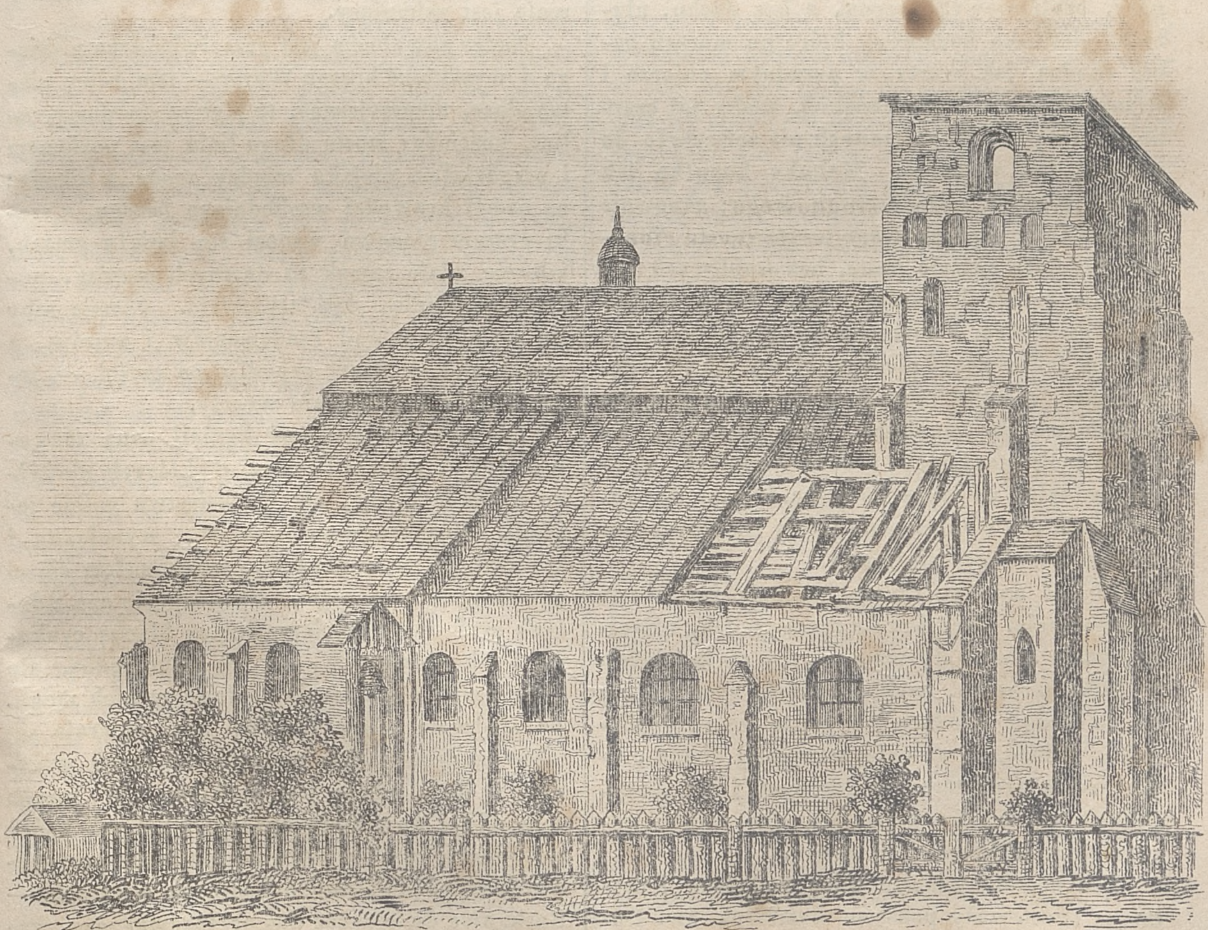
Nr. 30. **Rok 15.**

PRZYJACIEL LUDU.

Leszno, *dnia* **22.** *Lipca* **1848.**



Fara w Pyzdrach od ulicy.

Wycieczka nad Wartę.

(Ciąg dalszy.)

Nazajutrz wyprawę drugą odbywając, poszedłem do Fary. Gmach ten z daleka, gdym dojeżdżał do miasta, uwagę moją zwrócił był na siebie, z powodu wieży, która jakoby cytadella starorzymska na pograniczu barbarzyńców Germańskich stérczała wysoko nad korytem Warty; czworogranna, gruba, bez kopuły, bez dachu.

W saméj rzeczy wieża znaczną szerzawę zajmuje, i sądząc z założenia, mogłaby być o drugie tyle wyższa, niż ją dziś widzimy. Smutny to widok ta Fara! Gmach w murach mocny i obszerny, pustoszeje; od strony ulicy boczny dach łatany, dziurawy, zrujnowany i od czasu zgorzenia nie odnowiony. Z strony wybrzeża szczątki murów, przedzielających nizkie a nowsze dachy bocznych przybudowań; cała nawa nie zbyt wysoka, wieża zmniejszona od góry, czyli niewykończona, a bez dachu, ulubione siedlisko bocianów, które po murach sobie chodzą jak warty w paradnym ubiorze i strzegą niby świątyni Pańskiéj, ażeby jéj czarne ptastwo orłów rozmaitych nie zniszczyło do szczętu, lub wydarło. Malutka kopułka jak karzeł wyrasta z środkowego dachu; zapewnie dla dzwonka sygnarkowego wystawiona. Wnętrze kościoła równie puste, bez osobliwych pomników sztuki i starożytności. Jednę osobliwość uważałem z wierzchu na wieży w murze. Są tam jakieś znaki nieodgadnione, jak się zdaje figury, z cegły czarnéj ułożone, mające podobieństwo do kapelusza, albo kowadła. Po rozmaitych staraniach i dopytywaniach usłyszałem tyle, że jakaś kowalka bogata do wystawienia czy wykończenia wieży znacznym funduszem przyłożyć się miała.

Piękne zato położenie kościoła jest warte wspomnienia. Przykry ku rzece spadek, równiny, gdzie miasto się wznosi, tuż za kościołem w kilku tarasach, czyli stopniach, spuszcza się aż na drogę wiodącą od mostu na przedmieście. Widać, że dawniéj staranniéj dbano o upiększenie tych tarasów drzewem i krzakami. Widok zaś bardzo zajmujący oko wabi stojącego przy kościele z téj strony.

Pod nogami widzisz ulicę podgórną i drogę — spustoszały pożarem kościołek św. Ducha; miły gąszcz wierzbów nad wodą. Od lewéj strony domy aż do mostu, gdzie strażnik siedzący w budce o dwóch filarach, rogatki spuszcza i otwiera. Most na kilkunastu przęsłach, dobrze zbudowany i wygodny, łączy wysoki brzeg prawy z nizinami na lewém wybrzeżu Warty. Gęste krzaki i drzewa wierzbowe ocieniają stronę przeciwną i małą kępę za mostem, ciągnąc się zielonym pasem aż do celnéj wagi nad wodą, gdzie szkuty przybywają wspaniałym pędem, prując wartkie prądy nie szerokiéj rzeki. Z mostu grobla w prost przecina smugi błotniste, wysoką trawą zarosłe. Zwirówka topolami wysadzona daleko ku borom ucieka, a po za smugami rozległemi horyzont kończy ciemny pas borów, na około otaczających panorama.

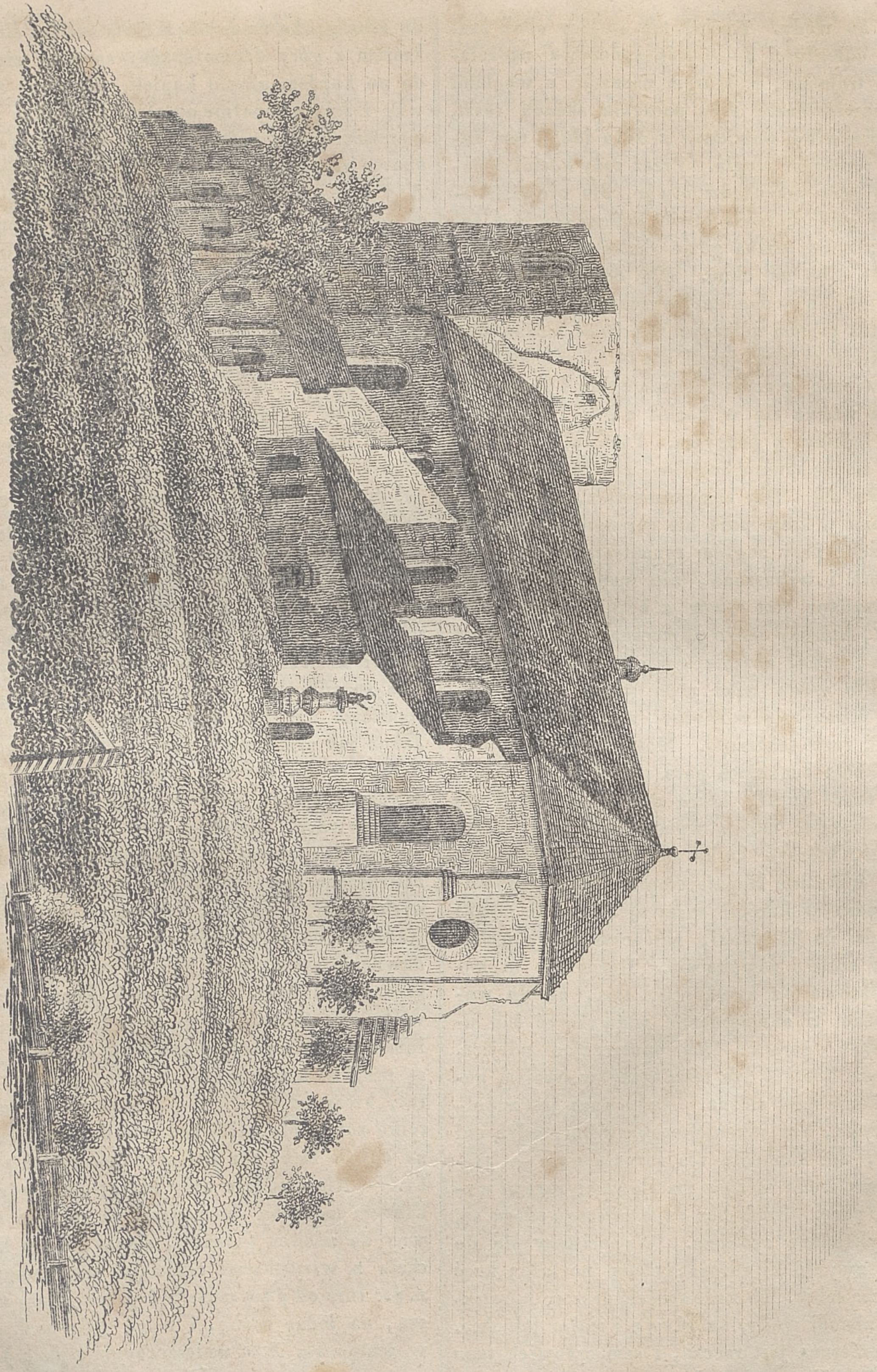
Najpowabniejsza jest ta strona miasta, co do widoku i piękności przyrody. Jak z góry patrząc na dół ku wschodowi i południowi — spodobać się musi położenie miasta, tak z dołu od wybrzeża patrząc na miasto, widok równie jest zajmujący.

Nader powabném jest przeciwieństwo niskiego i wysokiego brzegu Warty — tam niwy zieleniejące, nieprzejrzane, tu piętrzą się domy, ulice, kościoły; mostu długa linia jest poziomem i przedziałem niejako między wodą a ziemią; na saméj krawędzi wschodniego brzegu, z rzeki prawie pionowo wznosi się śmiały gmach, jak się zdaje zamek za dawnych czasów, późniéj więzienie, dziś szpichlerz. Ziemia niby się wymyka z pod fundamentów i murów, a gmach stoi — filary zapadły po części — jednak mury z pionu nie wyszły.

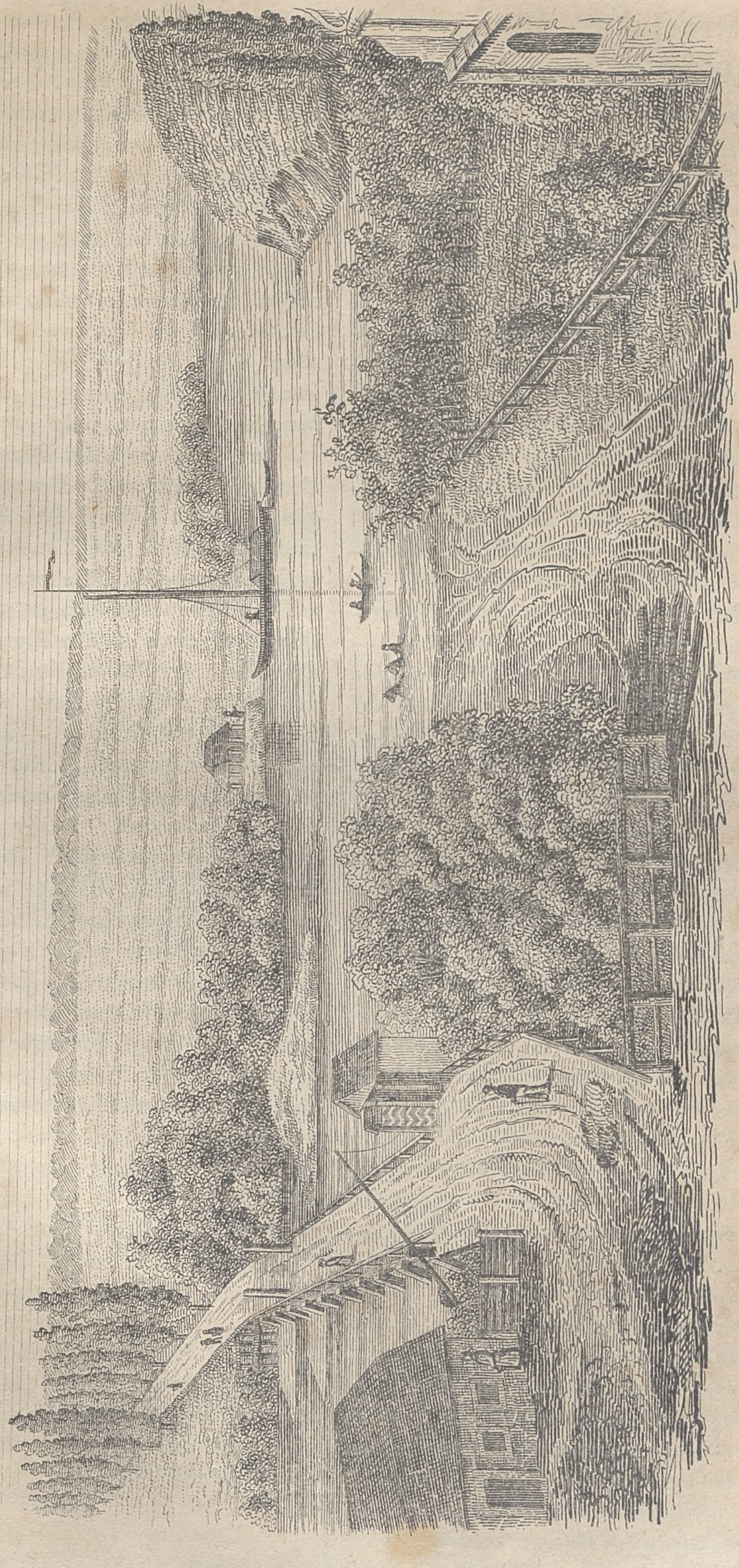
Nie mógłem pominąć kąpieli pana Ossowskiego, pisarza komory, do których nie tylko z kongresówki, ale i z księstwa goście jeździli. Rozpoznawszy aparaty, wynalazku i konstrukcyi tegoż pana O., przekonałem się o wielkiéj ich dogodności. Składają się one z dużych szaf wyłożonych wewnątrz blachą cynkową i tak obszernych, że nie tylko jedna, ale dwie osoby obok siebie siedzieć w nich mogą. Za siedzenie służy ławka; nogi opierają się także na drewnianym podnóżku; z resztą wszystko w koło ciebie jest cynkiem. W samém dnie widać dwa małe otwory, z których końce mosiężnych rurek wystawają opatrzone przykrywadłami półkulistemi o bocznych otworach. — Rurki owe dwie przez dno przeprowadzone, wychodzą z miedzianego wieka kotła przeznaczo-

nego do wody. Kocioł ten stojący obok szafy w odległości 2—3 stóp spoczywa na żelaznym trojnogu, w którym naczynie z węglami jest zawieszone. Dno naczynia składa roszt, aby przewiew powietrza z dołu idąc, tém łatwiéj rozżarzył węgle. Przez cały kocioł z dołu do góry przechodzi otwór, dla przejścia ognia i gorąca; tenże otwór kończy się rurą żelazną, którą można gdzie chcieć wyprowadzić, w piec albo za okno. Dla dorzucania węgli drzwiczki są w dogodnéj wysokości nad kotłem, tędy téż prętem żelaznym popchnąć można węgle, które czasem, jeżeli nie są dosyć podrobione, uwięzną w rurze i tłumią ogień i przewiew. Woda wléwa się w kocioł z góry, nieruchomym lejkiem z pokrywą. Pozostałą w kotle wodę można spuścić kurkiem, u dołu kotła znajdującym się. Dla bezpieczeństwa, aby nagromadzona w kotle para nie rozsadziła naczynia, albo żeby przy nagłém rozpaleniu woda, parą pchnięta i wzburzona, nie wykipiała lejkiem — przydany jest otwór z klapą na wierzchu wieka, którędy także zbyteczną parę wypuścić można, jeżeli zbytnie gorąco idzie do szafy. W kotle woda mieć musi pewną wysokość, którą poznaje się w bocznéj, z kotła wyprowadzonéj, rurce szklannéj. Mosiężne rury, któremi z kotła buchająca para przechodzi w szafę, mają także kurki, które zamykają, jeżeli się chce tamować dalsze wpuszczenie pary. Termometr, którego kulka znajduje się wewnątrz szafy, wskazuje stopnie ciepła, które wpływająca para w kąpieli sprawuje. Jeżeli ciepło dochodzi do 30 stopni, natenczas chory wchodzi w szafę i zamyka się. Różni się ta kąpiel parowa od zwykłych, tém, że do woli można w okamgnieniu podwyższyć lub umniejszyć gorąco, nie opuszczając miejsca. Większa korzyść, że taką szafę w swojém pomieszkaniu mieć można. Nadto para jest zupełnie czysta, bez najmniejszego swędu, gdyż ani cegły, ani kamienie nie rozpalają się — tylko sama woda wrząca metalowemi rurami wypycha parę. Szafy bez najmniejszego odoru są, bo wykładane cynkiem. Wypociwszy się do woli, zwykle kwadrans, chory po kilka kroć spuszcza sobie, lub każe spuścić deszcz, lub strumień zimnéj wody, na głowę i ciało, jak chce. To konieczną jest rzeczą, i sam człowiek tego pragnie. Komu zbyt duszno, ten sobie otwiera okienko, albo pod nosem trzyma naczynie z wodą albo gębkę umaczaną. Tém samém sitkiem, którém z góry deszcz spada, spuszcza się wodę po każdém użyciu kąpieli, aby przez to ławkę i ściany zupełnie oczyścić i opłukać z najmniejszych nieczystości, i tak uchylić wszelką obawę zarażenia się dla późniéj wstępującego. Nad szafą jest naczynie z cynku, mieszczące w sobie świeżą wodę do spłukania chorego i szafy. Aparat cały może być użyty i do duszowania i do zimnych kąpieli deszczowych, i powinienby się znajdować w każdym lazarecie, zgoła w każdém mieście, które nie posiada kąpieli parowych. Wszelkie reumatyzmy i z nich wypływające choroby, parową tylko kąpielą najprędzéj wyleczyć się dadzą. — Niechybne skutki kąpieli są: przywrócenie snu i apetytu. Utrzymanie aparatu nie jest kosztowne. Węgli mało wychodzi, a reparacye nie są częste, ponieważ wszystko warownie zbudowane. Ten więc zakład zwiedziwszy, zastałem tam kilka kaleków, których pan Ossowski darmo utrzymywał i leczył. Z największą troskliwością wynalazca aparatu doglądał chorych, sam dzieci swe nie raz bierze do kąpieli parowéj, chociaż są zdrowe i czerstwe, bo powiada, tym sposobem nie jednéj zapobiega się chorobie. Jakoż już przodkowie nasi, o tém przekonani, bardzo często używali łaźni. Nie było miasta w dawnéj Polsce, gdzieby publicznych łaźni nie utrzymywano. Zwykle co tydzień raz tam uczęszczano; nawet w kontraktach łaziebników zastrzeżono nieraz bezpłatne kąpiele dla szkólnych uczni i innych. Obyśmy zaniechawszy jeżdżenie do zagranicznych wód, powrócili do dawnego zwyczaju. Byłoby więcéj w kraju grosza i zdrowia. Jakkolwiek kuracya zimną wodą jest skuteczną, to jednak zdaje się, że łaźnie parowe prędszy sprawują skutek, i mniéj są przykre i nudne dla chorego, a mając aparat, który od 60—100 tal. kosztuje — już nie tylko sobie, ale całéj rodzinie dogodzić można, na długie lata, bez dalszych kosztów i podróży. — Niezawodnie cały aparat mniejszym nakładem możnaby sporządzić, na rozmiar stósowny do miejsca (stancyi, sionki) i nie koniecznie z wszystkiemi częściami wspomnionemi; n. p.: rura od pary może być jedna, szafa mniejsza, na jednę osobę, i t. p. (Rysunek szafy w następnym Nrze umieszczonym będzie.)

(Dalszy ciąg nastąpi.)



Fara w Pyzdrach.



Widok od Fary w Pyzdrach, zdjęty r. 1845.

Cyrill i Strachota (Metodyusz), Apostołowie Słowiańscy.

Cyrill i Strachota, rodzeni bracia z Alexandryi Greckiéj, byli rodem Słowianie. Za czasów Michała, Cesarza Greckiego, nawróciwszy za pomocą łaski Bożéj niektóre narody do wiary chrześciańskiéj, jako Chorwatów i Słowaków, przybyli jako pątnicy do ziemi Morawskiéj dla opowiadania zbawienia narodowi i przynieśli ze sobą ciało św. Klemensa, które w morzu byli znaleźli. Król Światopług, dowiedziawszy się o przybyciu ich, wyszedł na przeciw nim z całym dworem swoim, i z uczciwością wielką ich podejmował. Apostołowie oni, Króla z całym ludem do wiary chrześciańskiéj nawrócili i do przyjęcia św. chrztu przywiedli, a chodząc po miastach i wioskach całego państwa, wiarę w Chrystusa Pana opowiadali, napominając wiernych, do wystrzegania się grzechów, a wytrwania we wierze i cnotach. — Światopług Cyrilla na godność Arcybiskupią wynieść postanowił. A tak Cyrill wiele ludzi do wiary Chrystusowéj przywiódł, i Pismo św. starego i nowego zakonu z Greckiego i Łacińskiego na język Słowiański przełożył. Lecz kiedy Mszą świętą i inne nabożeństwo w Słowiańskim języku odprawiał, a Papież się o tém dowiedział, wysłał listy do niego, wzywając go, aby się niezwłocznie do Rzymu stawił, i wytłómaczył, dla czego to czyni. Przybył z wielką pokorą mąż święty do Rzymu; a gdy mu Papież wyrzuty czynił, skromnie się tłómacząc i zapewniając, iż zawsze w jedności ze Stolicą apostolską być pragnie, i nic nie naucza, coby przeciwném było nauce Chrystusa Pana, wziął psałterz, a otworzywszy go, przeczytał owe wiersze: „Wszelki duch niech chwali Pana!“ i rzekł do zgromadzonych Kardynałów: „Dla czegoż, Ojcowie, bronicie mi odprawiać Mszą św. i inne nabożeństwo w Słowiańskim języku? Gdybym tego nie czynił, nacóżbym się ludowi memu przydał? który twardy jest, nieoświecony, nie znający dróg Pańskich — dla tego z natchnienia Bożego za zbawienną rzecz uważam odprawiania nabożeństwa w ich języku, — i wielu już Panu Bogu pozyskałem. Nie miéjcie mi tego za złe Ojcowie, wszak i święty Paweł rozlicznemi języki mówić nie zabrania. A Ojcowie słysząc mowę jego i wierze się dziwując, ustanowili, aby i nadal w Słowiańskiéj ziemi po Słowiańsku nabożeństwo odprawiało się. Uradowany św. Cyrill wrócił do swéj krainy, i ciało świętego Klemensa do Welehradu przeniósł. Nie długo potém wziąwszy ono ciało święte, do Rzymu poszedł, i zasnął w Bogu — wiele czynił cudów i znaków. Przed śmiercią swą brata swego Strachotę Arcybiskupem ustanowił i do Welehradu posłał. Światopług z ludem swoim i całym dworem naprzeciw niemu wyszedł, i aż do kościoła go odprowadził, który to Arcybiskup wiary świętéj w całéj Morawii pilnie strzegł i o rozkrzewienie się jéj starał. Potém Król huczne gody wyprawił Książętom swoim, na które téż i Borzywoja, Wojewodę Czeskiego, przyzwał; Borzywój był jeszcze poganinem — a gdy wszyscy do stołu siadać poczęli, jemu Król przed stołem na ziemi siedzieć rozkazał, mówiąc: Nie przystoi tobie za stołem z Chrześciany siedzieć — ale według pogańskiego obyczaju na ziemi przed stołem jeść będziesz! — Arcybiskup litując się nad nim, rzekł do niego: Jakoż ty, tak wielkim Książęciem będąc, nie wstydzisz się — żeś wyłączon od tak zacnego towarzystwa, i dla swéj niewiary przed stołem tak haniebnie siedzisz? Książę Borzywój odpowiedział: Cóżby mi i wasza wiara chrześciańska pomogła? Na to odrzekł Arcybiskup Strachota: Gdybyś poniechał twoje bożyszcza, a wiarę chrześciańską przyjął, oto ty i twoi potomkowie byliby najsławniejsi i najdostojniejsi ze wszystkich Książąt Słowiańskich. Mowę tę Arcybiskupa rozważywszy Borzywój, prosił, aby mógł być ochrzcony. — Na prośbę tę przystał św. Biskup, lecz pytał go wprzódy: Wierzysz całém sercem w Ojca Wszechmogącego, i w jego Syna, Jezusa Chrystusa, i w Ducha św., który jest Oświecicielem wszystkich wiernych! Potwierdził to Wojewoda, i ochrzcon jest i trzydziestu służebników z nim. Wyuczony zasad wiary i utwierdzony w niéj do Czech wrócił, i Arcybiskupa do siebie wezwał. Przybył mąż apostolski, i świętą Ludmiłę, małżonkę Książęcia Borzywoja, z wielu innémi pochrzcił, a tak tedy wiara chrześciańska w ziemi Czeskiéj się rozszerzyła. Święty Strachota zaś do Morawii wróciwszy, świętobliwie żywota dokonał.

Modlitwa do Najświętszéj Panny.

Nieba i ziemi Królowo,
Przychodzimy oto chorzy,
Twoja ręka niech na nowo
Źródło zdrowia nam otworzy;
Ze zmaz ciała nas obmyje,
Mężom białe da odzienie,
Niewiastom w czystości lilije;
Módl się za nami chorych uzdrowienie.

Nieba i ziemi Królowo,
Grzeszni — innych winim marnie,
Duch nasz waśnią rozproszony
Niech znów miłość w jedno zgarnie.
A gdy w bratniém Alleluja,
Przebaczymy sobie sami,
Może i Bóg nam sfolguje —
Ucieczko grzesznych módl się za nami.

Nieba i ziemi Królowo,
Oto stoim w bolach zgięci,
Srom nam wyrosł po nad głową,
Chwała ojców — li w pamięci,
Daj niech z grzechów zalągnionych
Nasza ziemia się wyplami;
Daj nadzieje — utrapionych
Pocieszycielko — módl się za nami.

Nieba i ziemi Królowo,
Daj byśmy w wierze wytrwali;
Ziemską mądrością olśniony
Duch, co stworzy, to obali;
Dotknij oczy ręką cudu,
Zdejm ślepotę, daj widzenie, —
Ku zbawieniu twego ludu;
Módl się za nami Wiernych wspomożenie.

Przygody podstrychowe w kamienicy o trzech piętrach w Warszawie przy Gołębiéj ulicy.

(Ciąg dalszy.)

— Feluś nie wraca, a byłby powinien już dotąd.... Dwa hotele z listami miał obejść tylko, — przemówił Kulawiński do żony.

— E... co znów za przypuszczenia. Ale, nie odebraliśmy już dawno listu od bezimiennego naszego dobroczyńcy, — po chwili pan Kulawiński dołożył.

— Już mu się naprzykrzyło wspierać próżniaków, bo tak nas w końcu nazwał zapewne — odrzekła żona.

— To, to być może. O! gdybym ja miał nogę, nie żyłbym z wami w tak dokuczliwéj nędzy, ale brat... brat nie dobry, na tyle mych listów żeby też raz odpisał, a mógłby nas z tak strasznéj niedoli wydźwignąć.

Wtém drzwi się otworzyły i wszedł niémi oczekiwany Feluś.

— Feluś! Feluś! Feluś! — Kilka głosów w różnych miejscach w kołdrze z radością się odezwały. Pani Kulawińska tylko nie śmiała wchodzącego o rezolucyą zapytać, a ojciec od razu poznał po minie biednego Feliksa, że z niczém powrócił, jakoż położył przed ojcem dziesięć listów, wzięte do rozdania osobom w hotelach, z których siedm były rozpieczętowane, a trzy nie tknięte.

— I jakże, nic niemasz? — smętnie spoglądając na listy — zapytał Kulawiński Felusia.

— Ani grosza — z płaczem odpowiedział Feluś. — Dwóch wyjechało; jeden przyjąć niechciał; ci zaś, którzy rozpieczętowali, sądząc, że w ich interesie listy im przynoszę, ofuknęli mnie i lokajom za drzwi wypchnąć kazali. Napróżno z płaczem wołałem: „Ojciec kaleka! matka chora! bracia głodni!“ bo mię już nikt nie słyszał, albowiem na ostatnim wschodzie mówić dokończałem. — Boże wspomóż! — boleśnie wyrzekła matka, dzieci płaczem napełniły izbetkę, a pan Kulawiński zirytowany nieszczęściem, jakie jego syna spotkało, zapytał go po chwili, czy przyniósł wczorajszą policyjną gazetę?

— Przyniosłem, proszę taty — i Feluś położył gazetę przed ojcem.

Pan Kulawiński nie rejterując przed natarczywością srogiego losu, zaczął podpisywać listy przed chwilą popieczętowane do osób wczoraj do Warszawy przybyłych.

— Idź Felusiu do pana Dłużyńskiego i proś go, może ma z kilka groszy, niech nam jeszcze pożyczy, kupiłbyś chleba.

Feluś wyszedł.

Pan Dłużyński, był to młody malarz portretowy, mieszkający w drugiéj izbetce, pod tymże samym co i państwo Kulawińscy strychem.

Położenie artysty było bardzo podobne do położenia jego sąsiadów, tyle tylko było może nieco łagodniejsze, że sam jeden nic nie jadł

gdy czasami nie dostał roboty, a państwo Kulawińscy głodni, na siedmioro głodnych patrzeć musieli.

W kilka chwil Feluś powrócił.

— Moja mamo — rzecze wchodząc Feluś, — panu Dłużyńskiemu dziś zrana wszystko zabrał gospodarz.

— Ale co? kiedy nic nie miał — z podziwieniem zapytała matka.

— Surdut, kamzelkę i spodnie, bo zrana go naszedł, kiedy jeszcze był w łóżku.

— Co ty mówisz! — wykrzyknął Kulawiński.

— Prawdę mówię, proszę taty, siedzi na stalugach (*), w koszuli i w ga......

— Nie dokończaj mój Felusiu, — z żalem zawołała Kulawińska; — biedny chłopak!... mój Boże!... poczciwy Dłużyński.

— Że poczciwy, to poczciwy — mówił daléj Feluś, — kiedym mu powiedział, żem chodził dziś napróżno z listami, i że jeszcze dotąd nic nie jedliśmy, zdiął bóty, które pierwsze w ręce pochwycił, gdy ujrzał wchodzącego gospodarza, i kazał mi je sprzedać u Żydów.

— Jakże będzie bez bótów? — zwrócił uwagę Kulawiński.

— Ja to samo mówiłem — rzecze Feluś, — lecz odpowiedział, że i tak wyjść na ulicę nie może, albowiem żadnego nie ma ubrania, będzie więc boso czekał zmiłowania Boskiego.

— Zanieś mu mój pantofel — i pan Kulawiński nie wiele myśląc, zrzucił z jednéj nogi pantofel.

— I cóż mu po jednym pantoflu? z małym przyciskiem zapytała Kulawińska.

— Moja żono... w potrzebie z bliźnim, jedną jagodą podzielić się należy, — odrzekł Kulawiński — i Dłużyńskiemu lepszy jeden pantofel niż żaden. — I Feluś, spełniając rozkaz ojca, zaniósł jeden pantofel panu Dłużyńskiemu, który jakkolwiek będąc w smutném położeniu, musiał się rozśmiać zobaczywszy wchodzącego Felusia z jednym pantoflem Kulawińskiego; a niechcąc sprzeciwić się staremu sąsiadowi, kazał Felusiowi położyć przyniesiony pantofel, a samemu iść co prędzéj do Żydów zwekslować nie złe jeszcze i z dość dużémi cholewami bóty.

(*) Stalugi, na których wspierają malarze tablice z portretami.

Cała familia Kulawińskich na otrzymaną wiadomość od Felusia, że sprzeda bóty pana Dłużyńskiego u Żydów, ucieszona, podnosić się zaczęła, i rzecby można, że się ukazała grupa, z ruchomych woskowych figur złożona. Nie tracono tam czasu na długie ubieranie, bo każde powstawszy z barłogu usiadło w kącie i już było gotowe na przyjęcie Felusia z chlebem.

Wtém drzwi się otworzyły i weszła z niemi Cecylia, trzymająca w jedném ręku imbryczek, a w drugiém trzy bułki.

— Cesia! — Cesia!... zawołały dzieci. A państwo Kulawińscy z rozrzewnieniem spojrzeli na dobrą córkę, jaką była Cecylia.

— Przyniosłam państwu trochę kawy, — wchodząc rzecze Cecylia.

— W samą porę, bo właśnie z nikąd grosza nie możemy dostać — odpowiedziała Kulawińska, a dzieci się tłoczyć w koło siostry zaczęły.

— Dajcież mi pokój! bo mię przewrócicie. Oto macie dwie bułki, podzielcie się niémi.

Dzieci między siebie dwie bułki schwyciły i nim matka zdołała zawołać: „Poczekajcie, woda się zgrzeje, zrobicie sobie wodziankę,“ już bułek nie było, i wszystkie dzieci na imbryczek z kawą patrzały, który wziął od Cecylii Kulawiński, a zobaczywszy, że jest pełny, zawołał: — Stasiu, idź poproś pana Dłużyńskiego na kawę.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Redaktor: X. *Fr. Wawrowski.*)